

Rozdział XI – Exodus



Miejsce: ???

Czas: ???

Sly poczuła, jak ktoś ją szturcha w plecy. Wymamrotała coś niezrozumiale, jeszcze na wpół śniąc, i przewróciła się na drugi bok. Szturchanie jednak nie ustawało.

- Zaraz wstanę... – wymamrotała nieco wyraźniej.
- Wstawaj natychmiast – odpowiedział jej twardy, niemiły głos ogiera.
- Wujek?
- Musimy porozmawiać. To ważne.

Otwierając delikatnie oczy, powoli zlazła z łóżka. Była skrajnie zmęczona i nie wiedziała, która jest godzina. Spojrzała przez okno jej kamiennego domu. Księżyc wisiał na bezchmurnym niebie. Wydawało jej się, że ten spada, zamiast się wznosić. Wyglądało na to, że zbliża się świt.

Ich mieszkanie leżało na grzbiecie wzgórza, kilka Li od wioski, w której ich rodzina spędziła większość swego żywota. Sama nigdy nie była nigdzie dalej. Wiedziała, że gdyby ruszyli na południowy zachód, to mogliby zobaczyć Makin – cesarską stolicę Siny. Ale poza

tym nigdy nie widziała nawet sąsiednich wiosek. Do miasta na targ zawsze podróżował wujek. Rodzice zaś robili... inne rzeczy. Przynajmniej tak to wujek tłumaczył.

Przetarła swoje zaspane oczy i wyszła ze swojego małego pokoiku. W jadalni czekali już i wujek, i dziadek. Siedzieli przy stole i jedli. Wydawało jej się to dziwne. Śniadanie jedli zwykle później. Skinęła z szacunkiem głową i również usiadła. Tradycyjnie najstarszy członek rodziny siedział naprzeciw drzwi, będąc w ten sposób gotowym do przywitania potencjalnego gościa.

Starzec przerwał jedzenie i odłożył miskę.

– Sly, pamiętasz jeszcze tę historię, którą ci opowiadałem ostatnio? – zapytał się.

– Yyyy...

Nie pamiętała, bo nigdy ich nie słuchała. Lubiła się bawić, biegać po tarasach i oddalać się możliwie najdalej od domu. Shy Bing, bo tak nazywał się jej dziadek, lubił opowiadać różne historie, które jednak ani trochę ciekawe nie były. Jej rodzice byli wiecznie czymś zajęci w Makinie, a wujek pracował na polu. Stąd też większość czasu szła sama, co doprowadzało wujka do pasji. Dziadek już dawno dał spokój, bo w tym wieku ledwo mógł chodzić, a co dopiero biegać za nią.

– Trudno, opowiem jeszcze raz. Podasz? – zwrócił się do jej wujka.

Grim delikatnie podniósł starą, zakurzoną skrzynkę i pokazał jej.

– Kiedy jeszcze za cesarza i cesarzowej byłem żołnierzem, to mój stary przyjaciel pożyczył mi szablę *dao*, gdy walczyliśmy z rebeliantami – zaczął opowiadać. – Ale potem cesarstwo nam zabrali, odeszliśmy z wojska i poszliśmy w swoje strony. Szabla została przy mnie, ale teraz, gdy jestem stary, coraz bardziej męczą mnie wyrzuty sumienia. Chciałbym mu ją zwrócić, ale jestem za stary. *Dao* znajduje się w tej skrzynce i chciałbym, by do niego wróciła. Gdy ostatnio się widzieliśmy, miał on dom w Makinie.

– Trochę ciężka się wydaje... – zwróciła uwagę Sly.

– W każdym razie, nie miałabyś ochoty na taką małą przygodę? – zapytał jej dziadek, przeczesując brodę swym kopytem.

– Jasne? – odpowiedziała nieśmiało. – Bardzo chętnie, po prostu nieco mnie to dziwi. Zawsze wujek podróżował.

– Prawda. Ale wujek ma też inne rzeczy do załatwienia i musi wziąć też inne rzeczy do miasta. Potrzeba mu dodatkowego kucyka.

Grim skinął głową, potwierdzając. Nadal był ponury i Sly nie miała pojęcia czemu. Dziadek dla odmiany wyglądał lepiej niż zwykle.

– No to świetnie – powiedziała bardzo zadowolona młoda klacz. – Kiedy wyruszamy? Za tydzień?

– Szczerze mówiąc... najlepiej teraz, przed świtem.

Zaraz, jak to teraz? To nie miało żadnego sensu. Nikt normalny nie wyrusza na wyprawę w późną noc. Jej oczy się kleiły i ledwo utrzymywała przytomność a on chciał, by ruszyli od razu?

– Dlaczego? Skąd pośpiech?

Shy Bing przez chwilę milczał i zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ponieważ boję się, że może już nie żyć – zaczął powoli, wciąż czesząc swą długą, siwą brodę. – Gdy wtedy w Sānshì walczyliśmy z republikanami, łat mieliśmy mniej więcej tyle samo. Ale spójrz teraz na mnie. Jakkolwiek bym się próbował bronić, jestem wrakiem kucyka.

Musiła przyznać, że miał rację. Shy Bing nie wychodził właściwie z domu, gdyż jego stare kości nie pozwalały już na większy wysiłek. Ledwo był w stanie wyruszyć z sypialni do jadalni, ale starzec bał się, że już niedługo nie będzie w stanie opuścić już nawet sypialni.

Z drugiej strony, czy to naprawdę o to chodziło?

– Mogłabym się chociaż wyspać... – Sly ziewnęła. – Te kilka godzin zrobi różnicę?

Dziadek westchnął.

– Powinniśmy wyjść teraz – nagle odezwał się wujek Grim. – Zbliża się ciężka zima, a wtedy podróż będzie wyjątkowo trudna. Wyjście te kilka godzin wcześniej może nam bardzo pomóc. Tym bardziej że najbliższa wieś, w której moglibyśmy znaleźć schronienie, jest daleko.

– Zima chyba zaczęła się już tygodnie temu – zwróciła uwagę klacz.

Grim przewrócił oczami, jakby ten fakt strasznie go zabolął.

Sly spojrzała za nich. Przy drzwiach były już zapakowane torby. Nie rozumiała tego ani trochę i całe to jej obudzenie późno w nocy wydawało się dziwne. Wujek też wyglądał, jakby czuł się niezręcznie. Tylko Shy Bing jakoś tak patrzył i uśmiechał się, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku.

– W każdym razie... – kontynuował dziadek. – Liczę, że pójdziesz z wujkiem. To będzie wspaniała przygoda, mówię ci. Makin to piękne miasto. Dawno go nie widziałem i chciałbym wiedzieć, czy jest tak wspaniałe, jak zawsze.

Wujek wstał od stołu i podszedł do okna. Grim przez chwilę przez nie patrzył na powoli opadający księżyc. Wydawał się czymś zmartwiony.

– Pójdę – powiedziała. – Nigdy nie pozwalaliście mi podróżować gdzieś dalej. To miła odmiana. Rodzice dużo mi o tym mieście mówili, ale żeby je zobaczyć...

Dziadek znowu się uśmiechnął.

– Przepraszam za to. Chciałem dać ci więcej radości, ale wiesz, że czasem jest ciężko.

Gdy oni się rozczulali, Grim sprawdzał bagaże. Robił to w dużym pośpiechu.

– Dobra, możemy się zbierać! – krzyknął do środka.

Zanim Sly do niego dołączyła, przytuliła dziadka. Ten odwzajemnił uścisk.

– Ech, dziecko. Idź już – poprosił ją ciepło – Nie zapomnij pozdrowić przyjaciela.

– Jasne!

Następnie pobiegła do wujka, który pomógł jej przyjąć część bagażu. Był on naprawdę ciężki, ale była przyzwyczajona do dźwigania, jak każdy ziemski kucyk. Gdy już byli gotowi, pomachali dziadkowi, który dalej siedział w jadalni, i ruszyli. Była ciemna noc, ale Grim znał drogę bardzo dobrze i trzymał niewielką latarnię, którą oświetlał drogę. Minęli rodzinną wioskę i udali się na trakt do Makinu.

Musiła mimo wszystko bardzo uważać, by się nie potknąć. Stąd też dopiero gdy już byli daleko, zaczęły do niej dochodzić dziwne myśli. Bo jej się to wszystko podobało, naprawdę podobało. Chciała bardzo zobaczyć coś innego niż tę starą, ładną, ale już bardzo nudną wieś. Chciała przeżyć nową, fajną przygodę. Nic jej się jednak nie kleiło. Naprawdę musieli wychodzić o takiej porze? Czemu byli obładowani tyloma torbami? Czemu sam wujek nie poszedł odnieść tego miecza? Kto teraz będzie się opiekował dziadkiem? No i z jakiejś przyczyny Shy Bing zapomniał jej powiedzieć, jak właściwie ten przyjaciel się nazywa.

Wreszcie, nie pasowała jej jeszcze jedna rzecz. Generalnie, nie słuchała zbyt dobrze historii dziadka. Ale jednego była pewna. Dziadek nigdy nie służył w wojsku.

O tych myślach jednak szybko zapomniała, gdyż już godzinę szła przez krainę, której nigdy wcześniej nie widziała na oczy. Wujek nie dzielił jej entuzjazmu, ale była gotowa na tę przygodę.

– Szkoda, że dziadek nie może pójść z nami – powiedziała do wujka. – Jestem pewna, że byłoby fajnie.

– Owszem – odpowiedział Grim. – Wielka szkoda.

Sly Bing był starym kucem. Przeżył wiele – upadek cesarstwa, hiperinflację, kilka wojen domowych. To jednak było już za dużo. Siedział w swym fotelu i czekał, aż księżyc całkowicie opadnie za horyzontem. Było zimno, ale koc dawał mu ukojenie. Czuł się bardzo przyjemnie.

Wuj Grim nie był zadowolony, ale ostatecznie przekonał go, do tej wyprawy i do idei przekonania Sly. Cieszył się bardzo i bał się, co będzie z nimi dalej, gdy dotrą do szlaku. Miał też nadzieję, że pogoda dopisze i nic złego się im nie stanie po drodze. Szkoda mu było tylko, że zmusił wuja do kłamania, z czego ten był bardzo niezadowolony i zdradzał się swoim zachowaniem.

Wraz z opadającym księżycem powoli znad horyzontu wznosiło się słońce. Słuch miał wciąż dobry, więc był w stanie usłyszeć przyrodę budzącą się do życia i śpiew ptaków.

Tak jak przodkowie przed nim, pogodził się już z losem. Dlatego też nie zdziwił się ani trochę, gdy usłyszał wielki jazgot na zewnątrz, okrzyki przerażenia i wystrzały dochodzące z wioski pod jego domem. Gdzieś tam na zewnątrz trwała straszliwa rzeź. Shy Bing zaś dalej siedział w fotelu.

Drzwi zostały wyważone potężnym kopnięciem. Nie było trzeba – wychodząc, Grim nie zamknął ich na zamek. Sly odwrócił się w kierunku wejścia. Stał przed nim kucyk tak samo jak on o skośnych oczach, lecz w mundurze i z karabinem przy sobie. Wymierzył do niego i coś krzyknął głośno w tym swoim wyspiarskim narzeczu, pewnie jakiś rozkaz. Bagnet na końcu karabinu błyszczał.

– Chyba chce, bym wyszedł z domu – pomyślał.

Nawet jednak gdyby chciał wstać, nie mógł. Był zbyt zmęczony i była mu potrzebna kolejna drzemka. Zamknął oczy, przykrył się szczelniej kocem i się uśmiechnął.

Nippoński bagnet przeszył go na wylot, wywołując straszliwy ból. Potem żołnierz Imperium Wschodzącego Słońca uderzył jeszcze raz, przebijając mu płuco. Po tym już nie liczył kolejnych ciosów, a jego umysł i nerwy zasłoniła mgła. Jego ostatnia myśl dotyczyła się Sly, jego wnuczki. Cieszył się, że nie musiała o tym wiedzieć ani tego widzieć.

Sina nie była krajem nowoczesnym, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Państwo Środka modernizowało się powoli, a centrum tej modernizacji stanowił Makin wraz z położonym dwieście osiemdziesiąt kilometrów dalej Far Portem. Obydwa miasta łączyły tory kolejowe oraz sieć dróg zbudowanych niedawno, za Republiki. Były wreszcie liczne drogi gruntowe lub brukowane, te pochodzące jeszcze z czasów Niebiańskiego Cesarstwa.

Teraz, w obliczu nippońskiej inwazji, tysiące Sińczyków ruszyło ze wschodu na zachód i te właśnie drogi były teraz zablokowane przez wielkie, długie kolumny żołnierzy i cywilów uciekających przed ofensywą Imperium Wschodzącego Słońca. Droga mogła być szeroka i komfortowa do podróży, ale jeśli na kilku metrach kwadratowych tłoczyło się więcej niż dziesięciu podróżnych, to ich wyprawa była piekłem. Wielki łańcuch kucyków wręcz przytłaczał swoją masą. Byli to przede wszystkim mieszkańcy Far Portu – część z nich opuściła miasto jeszcze zanim nastąpił ostatni szturm. Byli już na tej drodze od dłuższego czasu.

Sińczycy szli do przodu, mniej więcej równym tempem. Nie mogli zwolnić ni przyspieszyć – z dwóch stron blokowała ich masa innych kucyków. Byli to Sińczycy najróżniejsi – rolnicy, kupcy, rzemieślnicy, nauczyciele, partyjniacy – ubrani zupełnie inaczej, ale wszyscy wyglądający paskudnie od brudu, braku snu, ran i zmęczenia. Szli długo, wielu było w drodze już od kilku dni. Wśród masy cywili zdarzali się żołnierze Armii Narodowo-Rewolucyjnej uciekający wraz z kolumną. Nie mieli mundurów czy hełmów, jeśli mieli zaś broń, to próbowali jej nie pokazywać. Wyglądali równie żałośnie co wszyscy inni.

Na początku tej wędrówki każdy, kto mógł, próbował uciekać ze swoim własnym jedzeniem. Z każdym dniem było jednak coraz gorzej. Oczywiście jedzono trawę, ale nie było to pożywienie prawdziwie sycące. Wiele polan koło dróg do Makinu było wyskubanych do żdziebełka. Kucyki Państwa Środka głodowały i cierpiały od trudów wędrówki.

Warunki te czyniły kucyki zdesperowane, a desperacja czyniła z nich istoty o złamanej moralności. Kilku kupców z wozami wciąż pełnymi ryżu sprzedawało go po ogromnych cenach, zmuszając bezradnych cywili do oddania niemalże całej gotówki za posiłek. Radość spekulantów żywności trwała krótko, gdyż widząc to, zawistni chłopci następnej nocy pobili ich na śmierć, a następnie zagarnęli worki dla siebie. Oczywiście nie po to, by się podzielić tym ryżem z resztą. Jeden z wycofujących się oddziałów wykorzystał swoją przewagę w uzbrojeniu i ograbił jakąś wioskę, pozbawiając lokalnych rolników możliwości przeżycia zbliżającej się zimy. Robiło się coraz chłodniej, a zaczynało brakować ciepłych ubrań. Co rano wielu już się nie budziło.

Wreszcie, byli Nippończycy.

O ile w nocy podróż była relatywnie bezpieczna, to za dnia poruszająca się kolumna stanowiła widoczny cel dla bombowców Cesarstwa. Samoloty nurkowały i precyzyjnie zrzucały bomby na drogi pełne cywili. Eksplozje oraz odłamki zabijały stłamszonych Sińczyków masami. Trupów nie miał kto pogrzebać, więc zostawiano je na drodze.

Jedno z takich bombardowań obserwował Tower, który, nie wychodząc z limuzyny, patrzył przez szybę. Znajdowali się na wzgórzu i główna droga była dla nich perfekcyjnie widoczna, choć ta była kilkadziesiąt metrów dalej i przebiegała znacznie niżej. Kierowca otworzył okno i zapalił papierosa, puszczając tytoń na zewnątrz.

– To był dobry pomysł, by nie jechać główną drogą... – mruknął jednorożec. – Cutter, gdzie dalej?

Jego towarzysz patrzył na mapę i odwracał ją na różne sposoby, jakby bardzo desperacko próbował coś znaleźć. Miał wyjątkowo zafrapowaną minę. Podobnie jak on, był analfabetą i nie umiał czytać sińskich znaków. Znał tylko wybrane wybiórczo oraz miał jakąś wiedzę o okolicy z powodu licznych lat, jakie tu spędził, ale to było tyle.

– Cholera, nie wiem. Daj mi moment – odpowiedział.

Tower westchnął. Przy kolejnym locie nurkującym, zamiast zrzucić bomby, samolot strzelił ze swych karabinów maszynowych. Sińscy uciekali na boki, ale było zwyczajnie za ciasno i wciąż kilku z nich zginęło w tej chwili, a wielu zostało rannych i wrzeszczało z bólu. Część uciekła w kierunku rzeki i próbowała przepłynąć ją w pław. Jednak w panice i przy dużym nurcie ciężko było płynąć i niektórzy już się nie wynurzali. Ranni nie otrzymywali pomocy od nikogo poza swoją rodziną, która rzadko wiedziała, co robić. Żrebaki pozbawione rodziców nie miały pojęcia, co dalej ze sobą począć, więc albo czekały przy swoich martwych krewnych, albo biegły z kolumną dalej na zachód, zostawiając trupy, by rozdziobały je kruki i wrony.

Rainbow Dash leżała na tylnym siedzeniu, a jako że głowę trzymała nisko, nic nie widziała. Jednak nawet dla niej było oczywiste, co się działo na zewnątrz. Dźwięki eksplozji i śmigła bombowca były dla niej wyraźne.

– Tower?

– Tak? – odpowiedział jednorożec swym paskudnym equestriańskim. – Cy jyst?

– Jedziemy do Makinu, prawda?

– Prywdy.

– Do ambasady?

– Tyż prywdy.

Pegaz westchnęła z ulgi, wciąż jednak obolała. W międzyczasie Tower puścił jeszcze jednego bucha.

– Dzięki – powiedziała.

– Ni my zy co.

Jednorożec spojrział z powrotem na drogę. Bombowce odleciały, trupy zostały, Sińczycy szli dalej. Jeśli ranni mieli rodzinę, to ta im pomagała. Jeśli byli sami, większość próbowała udawać, że ich nie ma. Tych pozostawiono.

Cóż za chore czasy.

– Chyba wiem, jak dalej jechać – odezwał się Cutter. – Ale jasna cholera, ta mapa jest beznadziejna.

– Trudno, trzeba sobie jakoś radzić – odpowiedział po sińsku Tower – Którędy?

– Do przodu, przejedziemy przez most i potem skręcimy w prawo. – Pokazał mu na mapie. – Znowu będziemy musieli nadrobić drogi, ale nie widzę innego wyjścia. Nippończycy są za blisko.

Tower przytaknął i znowu zapalił silnik. Limuzyna dawniej należąca do Big Eara znowu wyruszyła i pojechała po bezdrożach w kierunku stolicy Siny.

#

Wkraczając do obiektu kultu, Rising Storm nie oczekiwał, że będzie to odwzorowane jak w ojczyźnie. Wchodząc do świątyni, nie przekroczył bramy torii oddzielającej symbolicznie strefę profanum od sacrum – takiej tu nie było, choć być powinna. Sam jednak honden – główny pawilon świątyni kannagara-no-michi¹ – był taki, jak być powinien. Mały, pusty placyk stanowiący niejako przedśrodek przybytku.

Swoją oficjalny oficerski mundur zamienił na inny, cieplejszy. Wokół niego powoli spadały płatki śniegu – symbol nadchodzącej zimy. Na placu gromadziła się jego cienka warstwa, biały puch miło skrzypiał pod kopytami. Major udał się dalej po drewnianych schodkach w głąb pawilonu. Zdjął buty i wszedł do środka.

Chram nippońskiego kami wojny – Hachimina był, podobnie jak wszystkie inne podobne świątynie w Nippony, zbudowany z drewna. Zgodnie z tradycją, przy jego budowie nie użyto żadnych gwoździ. Rezultatem było, że ten chram, jak i wszelkie inne, trzeba było regularnie odbudowywać. Nie był to jednak wielki problem i czyniono tak od dawna. Oryginalnie w Handou tego chramu nie było, ale jego stworzenie zajęło tylko jeden dzień pracy.

¹ Kannagara-no-michi (z jap. dosłownie “Droga Bogów”, inaczej – szintoizm) – oparte na japońskiej mitologii tradycyjne wierzenia, charakteryzujące się politeizmem (wiara w liczne, szeroko rozumiane kami) oraz brakiem ścisłego kanonu.

Hachiman-jinja była bardzo prosta w swej budowie. Za szerokim, bezdrzwiowym wejściem znajdowała się pusta przestrzeń wyłożona drewnem. Po lewej i prawej stronie można było znaleźć meble, ale żadnego krzesła. Z przodu zaś znajdował się niewielki ołtarz, na którym ustawiono wiele małych rekwizytów. Najbardziej charakterystyczne były liczne origami przedstawiające gołębie, posłańców kami Hachimana, patrona kucyków wojny. Żołnierze składali je na ołtarze poświęcone bóstwu, licząc, że ten obdarzy ich szczęściem i odwagą, by przetrwać walkę.

Jeden wizerunek Boga Ośmiu Chorągwi wisiał na ścianie w postaci zwoju. Hachiman, święty protektor Nippony i rodu cesarskiego, spoglądał na niego swymi oczyma. Alikorn o dostojnym spojrzeniu siedział w szacie mnicha na tronie unoszącym się nad kwiatem chryzantemy. Chociaż jego domeną była wojna, był on kami łagodnym. Był również patronem rolników oraz rybaków – modlono się do niego o obfite plony i połowy.

Rising Storm ukląkł powoli na drewnianej posadzce. Nieco się skrzywił, bo kolana mu uwierały. Cichutko przesunął je nieznacznie, by było mu wygodniej.

Poza pegazem w świątyni były jeszcze dwie osoby. Pełniąca służbę w chramie miko ukloniła się przed nim, ubrana w odświętne białe-czerwone szaty. Gdy zauważyła jednak, że na zewnątrz pada śnieg, uśmiech zniknął jej z twarzy, a ona sięgnęła po miotłę. Chwilę później wyszła na zewnątrz. W międzyczasie kannushi, kapłan i strażnik tej świątyni, na widok majora cesarskiej armii również się pokłonił i zapalił niewielkie kadzidełko. Następnie sam usunął się w kąt i również ukucnął.

Rising Storm zrobił głęboki wdech. Zapach kadzidła dobrze na niego działał. Sama obecność w chramie po ostatnich dniach pełnych rozlewu krwi i skrajnych emocji pozwoliła mu uspokoić nerwy.

Mógł zapomnieć o ostatnich dwóch bitwach, licznych stratach w jego oddziałach, zbliżającym się kolejnym starciu czy knujących gdzieś dziwnych klikach oficerów, których nie rozumiał i najbardziej chciałby, by nie istnieli.

Młody pegaz pokłonił się do samej ziemi, oddając cześć Bogu Ośmiu Chorągwi. Następnie powstał z podłogi i kilka razy zaklaskał całkiem głośno, zwracając na siebie uwagę świętej kami.

Nie musiał wypowiadać słów modlitwy, wystarczyło je myśleć.

Przez długi czas nie był jednak w stanie się zdecydować, czego chciałby sobie życzyć od kami. Hachiman wciąż patrzył na niego, Jego aura była wyczuwalna w chramie. Czuł to w głębi ducha. Pomyślał, że zbyt pochopnie zaklaskał, zwracając uwagę kami.

Wiele się wydarzyło w ciągu ostatnich dni. W ciągu miesiąca awansował z podporucznika do majora. Wielu żołnierzy, których znał, odeszło na Wielką Równinę Niebios. Poznał wielu nowych "partnerów", bo przyjaciółmi ich by nie nazwał. Razem się śmiali, pili wino i rozbijali kieliszki o posadzkę – razem też dowodzili w boju na chwałę

Imperium Wschodzącego Słońca. Wciąż jednak były to dla niego kucyki kompletnie obce. Prawdziwy przyjaciel, który był wiecznie niedostępny – kapitan Sake kisił się gdzie indziej. Nawet adiutant Hissho, który przecież pomagał mu od dawna, był wciąż tylko kolegą po fachu.

Czuł się samotny i zagubiony. Poczuł się z tym źle, nie tylko dlatego, że odczuwał te emocje i były one złe, ale również dlatego, że nie wypadało odczuwać takich rzeczy w obliczu Hachimana, patrona samurajów z dawnych lat. Skarcił się w myślach.

Atencja kami się kończyła. Drugi raz klaskać nie wypadało.

– Żeby to było proste – pomyślał życzenie. – Jestem prostym żołnierzem. Niech będzie to czysta, nieskomplikowana wojna, niedręcząca mego sumienia, bym mógł spełniać obowiązki wobec Boga-Imperatora na Chryzantemowym Tronie. Spraw, byśmy wypełniali zadania klarownie i mogli wrócić do domu dumni z uczynienia Jego woli.

Rising Storm wyraził podziękowanie i wstał, kłaniając się kapłanowi. Ten odwzajemnił ukłon. Następnie pegaz opuścił chram, wychodząc tyłem. Po wyjściu na zewnątrz założył z powrotem pokryte śniegiem buty i udał się na placyk. Na nim zauważył zaś znajomego już mu oficera.

– Witam. – Major White Mane pokłonił się delikatnie. Na jego białej grzywie płatki śniegu nie robiły różnicy. Podobnie jak Rising Storm, nosił już zimowy mundur.

– Witam. – Odwzajemnił się sztywniejszym ukłonem. – Jak rozumiem, chcesz pomodlić się do kami, czyż nie?

– Chciałem podziękować mu za to, że załoga Kazumy przeżyła ten upadek, owszem, ale może to poczekać. Chciałbym najpierw z tobą chwilę porozmawiać.

Rising Storm głęboko westchnął.

– Co tym razem? Wiesz, że polityka mnie męczy...

– Odwołali Golden Liona – powiedział krótko major o białej grzywie.

– Co!?

White Mane przestąpił z nogi na nogę.

– Chodźmy poza obszar chramu. Nie wypada... – mruknął starszy major.

Gdy opuścili miejsce, gdzie winna stać brama torii, obydwaj oficerowie przystanęli. Rising Stormowi nie bardzo chciało się wierzyć tym rewelacjom.

– Dlaczego? – zapytał krótko pegaz.

– “Nie wiem, ale się domyślam”, powiedział Wiedźma. Z tego, co ja zaś rozumiem, utrata dwóch cumulonavisów na tyle podziła na sztab Dai-Nippony Teikoku Rikugun, że tymczasowo odwołali go, by wyjaśnić przed sztabem, jak to się stało i jak można temu przeciwdziałać – powiedział White Mane. – To przynajmniej moja teoria – dodał po chwili.

– Bóg Ośmiu Chorągwi chyba jednak nie do końca miał wpływ na to, co się działo w sztabie – pomyślał gorzko Rising Storm.

– W każdym razie... prawdopodobnie Swift Lead i Crimson Tide obejmą bezpośrednie dowództwo – kontynuował jego towarzysz. – To nie jest dobry znak.

Rising Storm westchnął ponownie, zmęczony.

– Tak więc...

– Nie, White Mane, teraz ty mnie posłuchaj – przerwał mu. – Naprawdę szanuję was jako dowódców i żołnierzy, ale to tyle. Polityka mnie męczy, moim zdaniem jest niepotrzebna. Proszę, oszczędź mi tych waszych wojen frakcyjnych.

Starszy major przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Dobrze, rozumiem – odpowiedział. – Przepraszam.

White Mane odwrócił się w przeciwnym kierunku, ale chwilę później spojrzał na niego z powrotem.

– Jestem w stanie zrozumieć, że może ci się to nie podobać. – powiedział pegaz o białej grzywie. – Ale... przyszedłbyś na jeszcze jedno spotkanie? Obiecuję, że skupimy się na tym, co ważne.

Młody major przez chwilę milczał.

– Dobrze. Przyjdę.

Po chwili obydwaj oficerowie się rozstali. Miko dalej zamyślała śnieg na dziedzińcu, a kapłan wciąż czekał wewnątrz pawilonu.

Na wschodnich przedmieściach Makinu, nie tak daleko od głównej drogi prowadzącej do Far Portu, setki kucyków tłoczyło się na ulicach. Na arteriach panował nieprzyzwoicie wielki hałas, tumult tysięcy kopyt uderzających o ziemię, ciągłych rozmów i krzyków. Uchodźcy ze wschodu docierali do Makinu.

Pośród tego chaosu było kilku członków administracji GMD, którzy próbowali wprowadzić choć trochę porządku. Na nogach mieli zawieszone charakterystyczne niebieskie opaski z białym słońcem – tradycyjny element stroju partyjniaków, ale teraz wykorzystany do wyróżnienia członków Feichang Shiqi Nanmin Jiuji Weiyuanhui². Na polecenie rządu członkowie tej organizacji przejęli duży apartament, z którego teraz próbowali pomóc uchodźcom na tyle, na ile mogli. Obok apartamentu siedziało kilku żołnierzy w mundurach, którzy pilnowali porządku oraz wozów z żywnością.

Jak mówiło sińskie przysłowie – nie było nic smutniejszego niż porzucenie ziemi przodków. Uchodźcy rozpaczali i żalili się w nieskończoność, łzy ciekły z twarzy, a dzieci płakały. Członkowie Rady Opiekuńczej byli zasypywani pytaniami.

- Można jeść?
- Xin Husheng, mój mąż, zagubił się. Czy on tu jest? Czy on tu jest?
- Proszę, dajcie choć yuana...
- Mój młodszy brat złamał nogę, czy można...
- Czy Nippończycy tu idą? Idą!?
- Dajcie jeść!

W większości wypadków urzędnicy nie mieli takiej mocy. Rannych i chorych kierowano do całkowicie zatłoczonych szpitali bez personelu. Żywności z wozów nie starczało – próbowano jakoś to racjonować, jednak ostatecznie nikt nie był zadowolony. Ci, co dostali, marudzili, że to tylko miska zeschłego ryżu. Ci, co nie dostali, marudzili, że kłaczce nie są wcale uprzywilejowane i sami chcieliby zjeść.

Inni członkowie Rady Opiekuńczej, którzy nie zajmowali się pomaganiem, brali notesy i liczyli. Było to zadanie szaleńcze i więcej było w tym zgadywanki i myślenia niż prawdziwej statystyki. Mimo tego – wnioski, jakie z tego wnosili, były przerażające. Licząc oryginalne miejsca zamieszkania, wyszło, że półmilionowe miasto Lin'an na południe od Far Portu stopniało do zaledwie stu tysięcy, zmniejszając efektywnie swą populację o 80%. A był to tylko odosobniony przypadek. Dolina Środkowej Siny była najludniejszym obszarem świata i cała ta masa, przerażona inwazją Imperium Wschodzącego Słońca, ruszyła na zachód.

W obliczu takiego żywiołu próbowano ratować, co się da, lecz struktura za to odpowiedzialna była słaba. Rada Opiekuńcza organizowała zbiórki pieniędzy dla uchodźców. Niestety, wiara w dobroczynność okazała się płonna. Shaohong, gubernator wojenny jednej z sińskich prowincji, meldował w raporcie do Rady Opiekuńczej, że zbiórki przyniosły zaledwie 112 tysięcy yuanów, podczas gdy dotacja od rządu centralnego wynosiła

² Z chin. "Rada Opiekuńcza do Spraw Uchodźców na Czas Nieokreślony"

około 19 milionów. Gubernator pisał ponuro: „jednorożce, które odkładają pałeczki i płacą dziesięć tysięcy yuanów gotówką w restauracji, nie są skłonne dać uchodźcom nawet miedziaka”. Była to ocena prawdopodobnie przesadzona, ale wiele mówiła o tragedii, jaka się działa.

W rezultacie większość obowiązków spadła na organizacje lokalne – tongxianghui, czy też na duchownych i nielicznych biznesmenów z zagranicy. W Far Porcie pomoc organizował kapłan solarystyczny Sun Disc. W Lin'anie podczas oblężenia otworzył dwanaście miejsc pomocy oferujących noclegi i kuchnię z zupą, które wsparły łącznie 13 tysięcy kucyków. Inną organizacją ratującą sińskie życie było Towarzystwo Czerwonej Swastyki z Hinnaratu. Jego członkowie rozdzielali żywność, prowadzili przedszkola i prawdopodobnie najważniejsze – grzebali anonimowe zwłoki walające się po wsiach i miasteczkach Siny, powstrzymując epidemię.

Ewakuowano nie tylko kucyki, ale właściwie wszystko, co dało się ewakuować. Szkoły średnie i uniwersytety ruszyły w interior, prowadząc od nowa lekcje pod gołym niebem. Nowe młode pokolenie dorastające w świecie wojny i cierpienia wciąż wymagało edukacji, jak każde inne.

Desperacko brakowało lekarzy i sanitariuszy. By nadrobić braki w kadrze, udzielano krótkich, miesięcznych lub dwumiesięcznych kursów. Były one jednak niewystarczające wobec dziesiątek tysięcy kucyków zmierzających na zachód. W tymczasowych obozach i mieszkaniach dla uchodźców szalały wszelkie możliwe choroby. Najpoważniejszą i najbardziej powszechną była malaria, powszechnie znana w tym klimacie. Z powodu głodu szalały dyzenteria i zapalenie jelit.

To działo się w skali „makro”. Cały ten horror wojny w skali „mikro” obserwował zaś generał Folk House, ekspert wojskowy z Grivridge, który przez okno swego hotelu widział tłoczących się na ulicach Sińczyków. Wielu z nich przeszło więcej niż dwieście kilometrów, ale gryf wiedział, że to dopiero początek. Makin też nie był bezpieczny. Wszystkich więc czekała podróż do Sanshi – wiele setek kilometrów na zachód.

– Czy ktoś widział mojego syna? – wrzeszczała jakaś klacz. – Był tutaj, przysięgam...

– Jeść, dajcie jeść!

– Przyjmą nas w Sanshi? Moja matka...

Folk House wiedział też, że wielu z nich tej podróży nie przeżyje.

Gryf opadł ponownie w fotel i sięgnął po koniak. Gdy nawet czysta woda stała się rzadkością, czuł wyrzuty sumienia, że sięga po taki trunek, ale cóż było poradzić. Nalał sobie kieliszek i wypił. Następnie wrócił do tego, nad czym miał pracować, czyli nad zaleceniami do dalszych działań dla Armii Narodowo-Rewolucyjnej.

Spojrzał na kopię map. W obliczu załamania frontu większość dywizji ANR straciła wartość bojową i wymagała natychmiastowej reorganizacji. Wiele pułków straciło kluczowych dowódców, w bitwie o Far Port utracono tysiące oficerów, którzy stanowili kręgosłup armii. Bez nich ANR była tylko bandycką zbieraniną z karabinami. Oni zaś walczyli z jednym z potężniejszych imperiów tego świata.

Far Port i Makin oddzielało dwieście osiemdziesiąt kilometrów. Nie było żadnych wątpliwości, że ze względu na fakt bycia stolicą, Makin musi być celem ofensywy nippońskiej. Dwieście osiemdziesiąt kilometrów mogło być i dużą odległością, ale jakie to miało znaczenie, gdy na tej drodze nie mogli stawić żadnego twardego oporu?

W czystej teorii wygrali bitwę nad Hastate'n, ale to starcie miało jeden skutek uboczny, który zaważył. Ostatnie myśliwce Republiki Siny zostały zniszczone, a armia generała Yang straciła zdolność bojową. Dwa dni wcześniej ostatnia eskadra została zbombardowana na lotnisku i całkowicie zniszczona. Lotnictwo Państwa Środka de facto przestało istnieć. Kolejne myśliwce Sina będzie zmuszona importować albo "otrzymać w podarunku" od Związku Ursuackiego.

Nie było artylerii, amunicji, organizacji, oficerów, lotnictwa, prawdziwie złej pogody – właściwie wszystkiego, co mogło uczynić defensywę silną. Sam Makin zaś nie był miastem dobrym do obrony – rzeka płynąca przez jego środek wręcz go utrudniała.

Jak zaś mówił trzydziesty szósty stratagem z dawnych sińskich dzieł o sztuce wojny – jeśli wszystko inne zawiedzie, należy dokonać odwrotu.

Czuł, że Jeng Jeshi będzie uparty i nie będzie chciał się wycofać. Ale co innego można było zrobić w obliczu tak potężnej siły?

Trzeba było czekać, aż Imperium Wschodzącego Słońca zmęczy się wojną jak sama Sina. Państwo Środka nie było państwem, lecz kontynentem, a nigdy w historii żadne państwo nie podbiło całego kontynentu. Nawet koczownicze ludy z Bayaru nie podbiły Niebiańskiego Cesarstwa, tylko skubały go terytorialnie albo osadzały kogoś na Tronie Niebios w Tikinie. Ale sama Sina była niezdobyta.

W wojnie na zmęczenie i wyniszczenie, Państwo Środka miało swoją szansę.

Ciemność.

Świadomość wracała powoli. Najpierw poczuł, że serce wciąż bije, potem że powietrze wchodzi, a następnie opuszcza płuca. Wróciły też węch i słuch.

– O, księżniczka się budzi.

Kapral Kogeta otworzył oczy. Nad nim był tylko zielony materiał stanowiący bazę namiotu. Wszędzie wokół zaś kotłowali się liczni medycy i lekarze ze szpitala polowego. Spojrzał w bok i dostrzegł dziesiątki innych, podobnych łóżek z dochodzącymi do zdrowia żołnierzami w mniej lub bardziej kiepskim stanie. Jeszcze raz pegaz wciągnął głęboko powietrze.

– Jak się miewasz? – zapytał nieznany mu kucyk ziemski, członek armii lądowej. Siedział na składanym krześle tuż obok.

– Co u licha... – szepnął.

– Wyciągnęliśmy was z rozbitego cumulonavis, pamiętasz? – zapytał. – W sumie możesz nie pamiętać. Siostro, chodź no tutaj!

– Chwila! – odpowiedział jakiś inny głos.

Kogeta próbował wstać. Udało mu się podnieść ciało z łóżka, ale wtedy poczuł ogromny ból głowy. Oficer przed nim wstał z krzesła i delikatnym pchnięciem położył go z powrotem.

– Nie wstawaj. Wstrząs mózgu czy inne diablę. Leż i odpoczywaj.

Kapral westchnął i się posłuchał. Kręciło mu się w głowie i miał ochotę zwymiotować, gdyby nie to, że nie miał czym. Był bardzo głodny.

– Sir...

– Pamiętasz, jak się nazywasz?

– Kogeta, sir. Jestem kapralem – odpowiedział bez wahania.

Oficer mruknął z zadowoleniem.

– Nie jest z tobą źle. Ja zaś jestem kapitan Sake – przedstawił się. – Miło mi cię poznać.

Chciał odpowiedzieć “ze wzajemnością”, ale znowu zakręciło mu się w głowie. Syknął.

– Na szczęście poza tym nic się z tobą nie stało. Będziesz zmuszony poleżeć dzień czy dwa, a potem wracasz na front – powiedział Sake, uśmiechając się. – Miałeś szczęście.

Nie miał. Myślał, że przeniesienie na cumulonavis to wspaniała okazja. Że będą tam bezpieczni, ukryci za grubym pancerzem. Ale trafili akurat na ten cumulonavis, którego dowódcę pochłonęła furia dominująca nad zdrowym rozsądkiem. Zaś uciekając, zostali tymczasowo umieszczeni na cumulonavisie, który niedługo później został strącony z niebios.

Już bardziej pechowy być nie mógł.

– Sir... a co z moimi... moimi...

– Z twoim oddziałem?

Kogeta przytaknął.

– Chyba wszyscy przeżyli. Wasz upadek został bardzo wyhamowany przez komunię jednorożców. Nawet sam cumulonavis nie oberwał tak mocno jak się baliśmy – odpowiedział Sake.

– Och...

– Wybacz, ale muszę iść. Ty sobie odpoczniesz, a ja wciąż mam wojenkę do wygrania!

Z tymi słowami kapitan piechoty wstał z krzesła i delikatnie pokłonił się leżącemu w łóżku Kogecie, który tylko poruszył nieco głową. Pielęgniarka wreszcie przestała się zajmować innymi rannymi i zaopiekowała się kapralem. Sake zniknął zaś za wejściem do namiotu.

Pancerna limuzyna Big Eara, legendarny pojazd z Far Portu, zatrzymała się na polanie. Tower przekręcił kluczyk, gasząc silnik. Wraz z wyłączeniem przednich świateł znowu zrobiło się ciemniej – zbliżała się noc. Pomarańczowe słońce zniknęło powoli za horyzontem.

Jednorożec spojrzął na wskaźniki przy kierownicy.

– Trzeba będzie dolać benzyny – powiedział.

– Pewnie tak – przytaknął Cheeky Cutter.

Tower wyjął kluczyk i wyszedł na zewnątrz, jego towarzysz również. Następnie zajrzeli przez okno na tylne siedzenia. Rainbow Dash patrzyła na nich, leżąc. Członkowie triady otworzyli drzwi, wyciągnęli ją na noszach i położyli w trawie obok.

Tower zauważył, że nie mówiła wiele ostatnimi czasy. Było to o tyle martwiące, że nie wyglądała na milczka.

Zbliżała się ciemna noc, tak więc musieli jeszcze szybko przygotować obóz. Drobnym śnieg padał z niebios, ale i tak Cheeky Cutter udał się do zagajnika w poszukiwaniu jeszcze

jako tako suchego opału. Ponieważ padało drobno, jeszcze było to możliwe. W międzyczasie Tower przeciągnął nosze z Rainbow Dash pod drzewo, tak by nie śnieg nie osiadał jej na głowę.

– Dzięki – mruknęła ponuro.

-Ni my za cu – odpowiedział, delikatnie się uśmiechając.

Nagle coś mu przyszło do głowy, dziwna myśl.

– W sumie... – mruknął po sińsku. – Rainbow? – zapytał w obcym języku. – A myżysz wstyć? Chyć sprybwyc?

– Może? – odpowiedziała, zdziwiona pytaniem.

Klacz napięła mięśnie brzucha i próbowała się podnieść. Oczekiwała, że kolejny raz ból jej własnych wnętrzności w nią uderzy, ale ku jej własnemu zdumieniu nie było go. Jednak samo podniesienie się z noszy okazało się i tak trudne. Przez tygodnie, miesiące nie wykonywała żadnych większych ruchów, jej mięśnie były słabe i odzwyczajone. Pomimo tego pegazowi udało się z pozycji leżącej przejść w pozycję siedzącą. Oparła swoje plecy o drzewo.

– O cholera... – myślał Tower. – A więc miałem rację z tym, że dałoby się ją przetransportować wcześniej...

Miał coś jeszcze powiedzieć, ale akurat wrócił Cheeky Cutter z drewnem. Było ono nieco wilgotne, ale nie była to wielka niedogodność. Róg Towera zajaśniał magią i silne ciepło pozbyło się wilgoci z drewna. Uzbierali to w kupę i magicznie zapalił ogień. Nie chciał nadużywać jednak swej energii, by przypadkiem wszystko nie spłonęło od razu. Wolałby, by ognisko powstało bardziej naturalnie.

Cheeky Cutter dalej dorzucał gałęzie i podtrzymywał ogień, zaś w międzyczasie Tower wrócił do limuzyny i otworzył bagażnik. Wyjął z nich całą torbę i zaniósł w pobliże ogniska. Rainbow Dash nieco się podniosła, by zobaczyć, co kombinuje jednorożec.

Sińczyk wyciągnął z torby coś w rodzaju garnka, ale bardziej płaskiego niż się spodziewała. Wykorzystując mocniejszy badyl i mocowanie, wraz z towarzyszem zawiesili go nad tłącym się ogniskiem. Kilka minut później ten drugi z nich, który nie umiał mówić po equestriańsku, przyszedł z bukłakiem pełnym wody, którą wlał do środka kotła. Gdy się nagrzał, woda zaczęła bulgotać z ciepła.

– Zupa?

– Szupa – przytaknął jednorożec.

Zaczęli wrzucać składniki. Wsypali sporo ryżu, nieco suszonej marchewki, jakieś zielsko. Rainbow Dash zaburczało w brzuchu.

Pochyliła się do przodu i postawiła swoje przednie kopyta na ziemi. Musiała teraz ruszyć tylnymi. Gdy próbowała ruszyć prawym, syknęła z bólu. Szyjka udowa dalej nie zagoiła się zbyt dobrze. Postawiła więc cały ciężar na lewym tylnym kopycie. Wstając na trzech kończynach, nagle musiała utrzymać na nich całe swoje ciało. Coś, co dawniej było banalnie oczywiste, teraz takie nie było. Jej osłabione mięśnie trzymały ciężar znacznie gorzej. Pomimo tego, udało jej się.

Powoli ruszyła kilka kroków do przodu, ciągnąc swoją czwartą bezużyteczną kończynę za sobą. Tower na ten widok omal nie upuścił jednej z drewnianych misek, które szykował.

Rainbow Dash usiadła bliżej ogniska, na trawie. Omal się nie zwała, ale ostatecznie wylądowała miękko.

– Chciałam usiąść bliżej – powiedziała cicho. – Tu jest ciepiej.

Tower milczał z rozdziawionymi ustami. Po chwili się opanował i wrócił do pichcenia zupy. Cheeky Cutter w międzyczasie podał jej drewnianą miskę. Nieznacznie trzęsła się w jej kopytach.

Położyła ją na chwilę na ziemi, a w międzyczasie przeszła kopytami po swym ciele. Nosila wiele bandaży, które założył jej Wu Yisheng i teraz, gdy nagle odzyskała wolność poruszania się, wełniane i jedwabne opatrunki, jakie jej założył, uwierały ją. Jeden z nich przechodził jej przez lewy kawałek twarzy i szyję. Delikatnie zaczęła go macać, próbując wyczuć powód, dla którego się tam znalazł. Wreszcie wyczuła wielkiego strupa po ranie sprzed miesiący.

Tower niczym wybitny kucharz sięgnął łyżką w polu telekinezy do garnka i spróbował. Coś mu dalej nie pasowało i wtedy sobie przypomniał. Z tego samego worka co ostatnio wyciągnął zapakowaną w łachmany grudkę soli. Ułamał jej trochę i wsypał do środka. Zamieszał kilka razy.

Cheeky Cutter usiadł na pieńku obok. Wyglądał na bardzo zmęczonego, podobnie jak jego towarzysze.

Jednorożec jeszcze raz spróbował swojej potrawy i wreszcie był zadowolony. Wyciągając drewnianą chochlę, nalał zupy – najpierw swojemu towarzyszowi, a potem jej. Drewniana miska z ciepłą ciecżą pełną ryżu była przyjemna i kojąca w dotyku dla jej kopyt.

Rainbow Dash delikatnie podniosła miskę, by napić się bezpośrednio z niej. Natychmiast jednak ją odłożyła, gdyż kopyta drżały jej strasznie, jakby były z galarety. Kiedy wydawało jej się, że już jest w porządku, spróbowała znowu. Po raz kolejny jednak miska trzęsła się w jej kopytach i by niczego nie rozlać, położyła ją z powrotem.

Tower, który pił bez większych przeszkód, spojrzał na nią.

– Pomoc? – zapytał po equestriańsku.

Rainbow Dash przez chwilę milczała.

– Nie – odpowiedziała w końcu.

– Ale...

– Nie – powtórzyła. – Zrobię to sama.

Jedna rzecz była pewna w umyśle Rainbow Dash. Pewność, że nienawidzi siebie samą za to, co pozwoliła ze sobą zrobić. To była jej wina.

Ostatecznie wszystko poszło o jej decyzje. Chciała brać udział w turnieju. To była jej chęć, jej pomysł. Znalazła się w tym kraju w wyniku jej własnych działań. Na to, co działo się później, nie miała większego wpływu, ale to, że była teraz wrakiem pegaza, było wyłącznie jej własną zasługą.

Rainbow Dash wielokrotnie się obijała i łamała na różne sposoby. Łapała czasami kontuzje w wyniku swych ćwiczeń, lotów i zabaw. Rany fizyczne czasem zostawiały blizny, czasem nie. Ale miała pewność, że uczucie hańby, pogardy dla samej siebie i kompletnej miałości, w jakie wprawił ją Wu Yisheng, nie odejdzie. Miała ochotę go udusić, aż jego gardło będzie czerwone, a jego ciało przestanie się ruszać – była pewna, że ten staruch nie jest ani tak silny, ani tak szybki jak ona. Ale przykuta do łóżka nie mogła nic zrobić, a on o tym wiedział.

Klacz znowu powoli podniosła miskę, tym razem trochę szybciej, zanim kopyta zaczęły dygotać. Pociągnęła duży łyk zupy wraz z ryżem. Gorący, dobry posiłek w tych warunkach był wręcz niebiańską rozkoszą. Z drżącej miski kilka kropel padło jej na kopyta. Pociągnęła kolejny łyk.

– Głupia, głupia, głupia... – szeptała pod nosem.

Gdzie zgubiła jej się ta dusza energicznej pegazicy z odwagą na cienkiej granicy między brawurą a głupotą? Gdzie była jej pewność siebie? Gdzie zgubiła swój własny uśmiech?

O mało miska nie wyleciała jej z kopyt. Położyła ją z powrotem na ziemi, by zupa się nie wylała. Dlaczego w ogóle te kopyta tak się trzęsły?

Niestety, na to pytanie również знаła odpowiedź. To był ten sam powód, dla którego było jej niedobrze, miała bezsenność, bóle mięśni i inne dolegliwości.

– Tower?

Jednorożec właśnie kończył zlizywać miskę. Podniósł znad niej oczy.

– Tyk?

– Masz może... ten... no... trochę...

Przez chwilę Sińczyk tylko dziwnie na nią patrzył. Po chwili westchnął ze smutkiem.

– Skyńcz szupę pirw.

Rainbow Dash wróciła do jedzenia z miski. Podejrzewała, że na standardy sińskie, ten posiłek był luksusowy i rzeczywiście tak smakował. Jadło jej się to naprawdę dobrze. Gdy zupy było mniej, mogła się też mniej bać o to, że się wyleje. Zlizwała miskę co do kropelki. Może nie wyglądało to ładnie, ale nikt się tym nie przejmował.

Gdy odłożyła już pustą miskę, Tower zaczął grzebać w kieszeni marynarki. Po chwili wyciągnął papierosa. Następnie używając lewitacji, zapalił go, wsadzając końcówkę do ogniska, i powoli przesunął go w jej kierunku. Chwyciła go zębami i spróbowała wciągnąć nieco dymu.

Omal się nie zakrztusiła.

– To... to nie jest....

– Tyk. Ty ni ypium. Ty titoń – odpowiedział Tower, który wyciągał drugiego papierosa dla siebie.

Klacz kaszlnęła dwa razy.

– Ale...

– Wim, że byli – powiedział, puszczając parę z ust. – Byrdzo byli. Ale titoń lepszy. Ty ni ypium, ale mysi sterczeć. Inyczej bydzi grzej.

– Leczenie jednego uzależnienia drugim? – mruknęła pod nosem.

Tower przytaknął. Rainbow Dash westchnęła i jeszcze raz się zaciągnęła. Wcześniej nie paliła w ogóle, uważając, że jest to skrajnie niedobre dla zdrowia. Ale egzotyczne wycieczki jak widać bardzo zmieniały kucyka.

Kiedy puszczala bucha, spojrzała na lewy bok – tam, gdzie powinno być jedno z jej skrzydeł. Spróbowała je delikatnie rozprostować. Nie po to, by spróbować nim machnąć, by sprawdzić, czy może latać, nie była głupia. Natomiast jego rozprostowanie pozwoliło potwierdzić jej przypuszczenia – wymagały one umycia, pióra były tłuste jak diabli i

śmierdziały. Ostatnie tygodnie nie pozwalały jej dbać o higienę, okropnie cuchnęło jej również z gęby. Ileż by oddała za zwyczajną szczotkę i pastę do zębów...

– Tower?

– Hmm? – Jednorożec odwrócił się, kończąc swojego papierosa. Popiół strącił do ogniska.

– Jest tu w pobliżu jakieś jezioro? Rzeka?

Sińczyk zastanowił się przez chwilę.

– Chiba jyst.

– To dobrze – odpowiedziała.

Tower nalał jeszcze jednej porcji zupy, którą tym razem skończyli znacznie szybciej. Z bagażnika Cutter wyciągnął koce. Klacz rzuciła niedopałka do tłącego się ogniska i wzięła jeden z nich. Przysunęła się bliżej drzewa i spróbowała znaleźć wygodną pozycję, możliwie taką, która nie bolała jej uszkodzone kopyto. Rainbow Dash nie była w stanie się zorientować, kiedy udało jej się zasnąć – po prostu odpłynęła.

Następnego dnia rano, gdy powoli wschodziło słońce, Rainbow Dash stała w strumieniu zimnej wody.

Zbliżał się grudzień i rzeka była lodowata. Ale pomimo tego klacz weszła do środka, drżąc tylko nieznacznie. Czysta woda zmyła brud ostatnich miesięcy z jej futra. Sama zaś wzięła pełny łyk z rzeki – chłodne, przyjemne uczucie wypełniło jej gardło i żołądek. Było na tyle płytko, że mogła spokojnie stąpać po dnie, bez konieczności pływania. Nurt był bardzo wolny i nie musiała się asekurować.

Cały czas czuła ból – i w kopycie, i gdzieś wewnątrz. Zimno pozwalało go jednak zmniejszyć. Czuła się niemalże jak nowo narodzona.

W zagajniku i małej rzeczce płynącej obok nikogo nie było poza nią. Cheeky Cutter lał benzynę i sprawdzał stan techniczny samochodu, a Tower sprzątał obozowisko, by Nippończycy nie wpadli na ich trop. Wokół niej były tylko drzewa, polana, nieco krzaków – pewnie gdzieś kryły się też jakieś małe zwierzątka. Nie widziała nigdzie w pobliżu żadnych śladów cywilizacji – jakby znajdowali się w kompletnej dzicy.

Wstrzymała oddech i zanurzyła całą głowę. Teraz próbowała czyścić tłustą i niemytą od dawna grzywę, pozwalając wodzie spłukać cały ten brud. Jej tęczowa zwykle grzywa zaczynała tracić kolor i liczyła, że choć trochę tego blasku wróci. Uczucie, jakie wywoływała zimna woda obmywająca jej twarz, było piękne.

Podniosła głowę z powrotem nad powierzchnię rzeki, rozpuszczając grzywę i posyłając dziesiątki kropel deszczu w powietrze. Nie nosiła nic poza bandażami i opatrunkami, które zawiązał jej Wu Yisheng. Teraz, gdy się zanurzyła w wodzie, te odczepiły się od jej ciała. Zanurzając głowę, straciła również opatrunek, który trzymał się na części jej twarzy i szyi.

Autentycznie się wzdrygnęła, gdy spojrzała w lustro wody.

Odłamki szkła i metalu przeszły po jej ciele i naznaczały jej twarz bliznami. Kilka szram przechodziło w dolnej części jej lewego policzka – perfekcyjnie widoczne dla każdego, kto spojrzałby z bliska. Chociaż futro zasłaniało jej szyję, to widziała również strup w miejscu, gdzie odłamek oderwał jej kawałek mięsa.

Nie była Rarity – nie zwracała takiej uwagi na wygląd. Pomimo tego, gdy spojrzała w lustro wody, to widok jej samej był dla niej obcy. Podkrążone, zmęczone oczy ze zmarszczkami przy powiekach. Paskudne szramy na jej twarzy. Obojętny i przygnębiony wyraz twarzy. Grzywa wciąż tęczowa, ale brudna i jakby tracąca kolor.

To nie była ona.

Poszła kilka kroków bliżej lądu, tak by więcej jej ciała wynurzyło się nad taflę wody, i spojrzała w inne miejsca, tam gdzie dawniej też były bandaże. Podobne paskudne szramy miała na tułowi i tuż pod skrzydłem. Czasami futro dobrze je kryło, a czasami było to brutalnie widoczne.

Usiadła przygnębiona.

Wszystko to, co się działo w ostatnich miesiącach, zmieniło ją w straszny sposób. Zaczęła się zastanawiać, czy jak wróci, jeśli wróci, to czy przyjaciółki ją rozpoznają. Gdzieś w głębi jej umysłu zdawała sobie sprawę, że ta myśl jest absurdalna. Ale wciąż – z jakiegoś powodu ona się pojawiła.

Miała ochotę się rozplakać. W końcu co jej szkodziło, łzy spłyną do rzeki. Powstrzymała się, choćby po to, by bronić ostatniej rzeczy, którą miała – postrzępione resztki jej dumy.

Spojrzała jeszcze raz w taflę rzeki. Jej zmęczona, odmieniona twarz wciąż tam była. Pod jakimkolwiek kątem nie spojrzała, to to, co się z nią stało, nie chciało zniknąć.

Na początku wydawało się jej, że ma zwidy, ale obok swojej twarzy w wodzie pojawiły się inne oblicza. Te należące do jej przyjaciółek, tysiące kilometrów dalej w ich rodzimym kraju. Zmartwione, zasmucone, ale mające coś, czego ona sama nie miała – nadzieję. Bo one liczyły, że wróci. Pewnie nie mogły w żaden sposób pomóc. Ale bardzo, bardzo chciały, by dała radę. By wróciła do domu.

Rainbow Dash krzywo się uśmiechnęła.

– Dla was wszystko – szepnęła.

Mrugnęła i jej przyjaciółek już nie było. Przemyślała jeszcze twarz i wyszła z rzeki. Na łódzie potrząsnęła ciałem, by choć trochę pozbyć się kropelek wody z futra. Udała się na górę, w stronę pagórka, na którego szczycie mieli obozowisko.

Rainbow Dash syknęła, włączając jedno bezużyteczne kopyto za sobą. Wspinanie się pod górkę było trudne, mając dostępne tylko trzy kończyny – tym bardziej że jej mięśnie po takim okresie leżakowania były w paskudnym stanie.

Gdy omijała jeden z krzaków, potknęła się i poleciała do przodu w trawę. Szczęśliwie przednie kopyta zamortyzowały upadek i nic się nie stało, ale po raz kolejny musiała się gramolić z ziemi.

Poczuła wtedy, jak ktoś łapie jedno z jej kopyt i podciąga w górę.

– Pomoc? – zapytał się Tower.

– A niech będzie... – odpowiedziała.

Podciągnęła się na nim i zawiesiła kopyto o jego plecy. Jednorożec pomógł jej wstać z powrotem na nogi. Ruszyli dalej.

Idąc w górę, Rainbow Dash spojrzała na swego “ochroniarza”, jak to powiedział Wu Yisheng. Był on roslim jednorożcem, bardzo wysokim – stąd pewnie było jego zwesternizowane imię. Miał zielonawe, gęste futro i ciepły wyraz twarzy. Przypadkowo ich spojrzenia się spotkały.

– Hm? – mruknął pegaz.

– Ehm... nic, nic.

– W sumie mógłbyś mi pomóc. Zatrzymaj się.

Tower stanął w miejscu i pozwolił Rainbow Dash opaść z powrotem na ziemię na wszystkie kopyta. Klacz stanęła dwa metry od niego.

– Wciąż mam mokre futro i grzywę. Możesz coś na to poradzić? Paskudnie tu chłodno.

Przez chwilę jednorożec tylko się gapił, nie wymawiając ani słowa. Dopiero po niej jakby się otrząsnął i rzucił zakłęcie. Rainbow Dash poczuła, jak powietrze wokół niej nagle staje się znacząco cieplejsze, a delikatna bryza czesze jej futro. Pegaz szybko przednim kopytem poprawił swoją grzywę, tak by przynajmniej przypominała jej oryginalną.

– Dzięki – mruknęła i spojrzała ponownie na jednoroźca. Tower miał... wyjątkowo dziwną minę. Patrzył się na nią wciąż szeroko otwartymi jak na Sińczyka oczyma i bardzo próbował zachować kamienną twarz. Ponieważ wyjątkowo starał się to robić, efekt był odwrotny od zamierzonego – zrobił się wręcz lekko czerwony na policzkach.

– Tower?

– Zyryz wyracam – wydusił, po czym błyskawicznie ją ominął, udając się w dół pagórka. Jednorożec zniknął za krzewem. Pegaz nie wiedział o co chodzi, więc Rainbow Dash postanowiła poczekać.

Kilka minut później Tower wynurzył się zza drzewa, tym razem z całkowicie mokrą głową po zanurzeniu w zimnej rzece.

– Chyż do symchodu – powiedział natychmiast jak ją zobaczył, drżąc z zimna. – Jystyśmy spyżnyni.

Rainbow Dash nawet już nie próbowała zrozumieć, o co mu chodziło i powoli pokuśtykała za nim. Cheeky Cutter siedział już na siedzeniu obok kierowcy, czytając mapę. Tower załadował ostatnie graty do bagażnika i zasiadł za kierownicą. Pegaz zaś powoli i ostrożnie otworzył drzwi i jakoś wszedł do środka, próbując nie uszkodzić felearnego kopyta. Ponieważ czuła się na siłach, zamiast leżeć, usiadła w fotelu.

Powoli, ale jednak wracała do zdrowia.

– Dokąd teraz? – zapytał po sińsku Tower.

– Prosto, potem w prawo. Jest tam jeden z ostatnich mostów, który utrzyma ten samochód. Potem jedziemy w lewo i długo prosto. Powinniśmy jutro rano dotrzeć do Tianjou.

Jednorożec przytaknął i zapalił silnik.

Gdy jechali, wszyscy milczeli. Tower był skupiony na tym, by utrzymać w całości wóz jadący po drogach ewidentnie nienadających się do jazdy samochodem. Rainbow Dash patrzyła przez okno, obserwując i myśląc. Cheeky Cutter zaś ciągle patrzył na mapę, obracał ją, wracał do legendy i przynajmniej próbował czytać znaki.

Chociaż członek triady ukrywał się z tym zmartwieniem, to był coraz bardziej pewny, że coś jest bardzo nie tak z mapą, którą otrzymali.

[Następny Rozdział](#)